ROZMAITOŚCI.

Dnia 23 stycznia, Nr. 4. roku 1847.

ZŁOWROGIE PTAKI.

(Dokończenie.)

Obadwa okręty stanęły w odległości pół strzału działowego naprzeciw siebie. Na komendę kapitana zatrzymał się bryg niewolniczy, i zwinął tylne żagle.

»Kto jesteście! Zkąd, i dokąd?« — zabrzmiał po fałach głuchy, drzący głos tuby.

»Bryg *»Liberty«* z Bostonu. Płynie z Liberyi do Bostonu.« — odpowiedział Devereux.

Nastała chwilowa cisza.

»Wasze papiéry!« — zabrzmiało po krótkim przestanku.

»Wyślijcie łódź po nie! Nasza łodź zepsuta!« — odpowiedział kapitan.

Wrychle można było widzieć, iż z obcego okrętu łódź na wodę spuszczono. Devereux poskoczył do kajuty, i w oka mgnieniu wrócił z papiérami w ręku.

»Czy mogę panią prosić« — rzekł do Emy — »abyś mi powierzyła na chwilę świadectwo, które kapitan Hobson ci wydał; jest ono do naszego wykazania się potrzebne.«

Podczas gdy Ema po żądany papiér odeszła, kapitan Devereux wziął pana Johna Smith'a pod ramię.

»Mam nadzieję zwieść tego jegomościę« — ozwał się kapitan ozięble. »Musisz mi pan być w tém pomocnym. Papiéry moje wykazują mię jako kapitana Nichels, dowódzcę Bostońskiego okrętu handlowego *»Liberty.«* Wieziemy ładunek oliwy palmowéj, i wracamy do domu. Pan będziesz tak łaskaw, udać się na pokład statku krążącego, i przedłożyć te papiéry kapitanowi. Wymienisz swoje prawdziwe nazwisko, jesteś na wszelki wypadek bezpieczny, a jeźli kapitan się da zwieść, wrócisz spokojnie na mój pokład. Weźmie on nas niezawodnie za to, za co się wydajemy; tylko w razie wielkiego podejrzenia, udają się Anglicy osobiście na pokład amerykańskich okrętów, gdyż obawiają się skarg i odpowiedzialności. Gdyby jednakże, co wcale nieprawdopodobne, dowódzca statku krążącego uparł się koniecznie, wysłać jednego ze swoich oficerów do nas na okręt; gdyby żadne przedstawienia, żadne protestacyje, a nawet i pogróżka zaskarzenia go u rządu, odwieść go od tego nie mogły; natenczas — ale tylko w tym ostatnim przypadku, kiedy już żaden inny środek nie pozostanie— doręczysz mu pan ten list, wraz z świadectwem, które *miss* Ema natychmiast tu przyniesie. Spodziéwam się, iż to niewątpliwie na korzyść naszę rozstrzygnie. Wszelako, jeźliby i to nie pomogło, a kapitan jednego z oficerów do nas wyprawił; tedy w chwili, gdy on do łodzi wsiędzie, wyciągnij pan jakbyto przypadkowie, chustkę z kieszeni, i powiej nią od niechcenia w powietrzu.«

Master John, słysząc te domagania się kapitana, zatrwożył się niemało; lecz nie śmiał w takiéj przygodzie odmawiać posłuszeństwa, témbardziéj, że zdało się, jakby kapitan na żaden opór w téj mierze zważać nie myślił. Tu spojrzał kupiec na nadpis doręczonego sobie listu.

»O mój wielki Boże!« — zawołał — »Karol Rodgers! Nie jestżeto nazwisko....«

»Nazwisko dowódzcy owego okrętu!«

nie dając mu domówić, rzekł Devereux tak dziko, iż tamten cały z przestrachu się zatrząsł. »Idź pan« — mówił kapitan łagodniéj, biorąc świadectwo z rąk nadchodzącéj Emy, i podając je kupcowi — »idź pan, i postąp sobie, jak ci zleciłem.«

Z żałosném obliczem oddalił się kupiec ku zwieszonym schodom sznurowym w tę stronę, gdzie właśnie łódź statku wojennego przybijała. W téj chwili niktby się nie był domyślił, iż to był okręt niewolniczy, a kilku majtków w czerwonych wełnianych koszulach, którzy się z okrętu do łodzi spuścili, rozmawiało z przybyłymi majtkami tak szczéro-amerykańskiém narzeczem, że ci, złudzeni tym pozorem językowym, dowiadywali się dobrodusznie o pewnym znajomym w Bostonie. Tymczasem *Master* John wsiadł do łodzi, i wkrótce zbliżono się ku statkowi angielskiemu.

W majestatycznéj spokojności stał wojenny okręt na wodzie, któréj wrzące fale, tym razem łagodnie o boki jego pluskały. Wszystkie prawie żagle zwinięte były w festony, jednakże bok korwety był ku okrętowi niewolniczemu wprost zwrócony, działa były w luki zatoczone, a pan Smith postrzegł, iż tylko przeciwdziałanie zwrotnych żagli, ten groźno-pyszny statek na miejscu wstrzymywało, i że tenże w oka mgnienieniu mógłby się był z miejsca jak tygrys na swoję zdobycz rzucić, gdyby tego potrzeba się okazała.

Z ciężkiém westchnieniem wstąpił pan John Smith na pokład okrętu wojennego, i wielce się zniepokoił, widząc tam wszystko w pogotowiu do boju.

Wtém zbliżył się ku niemu młody mężczyzna, po którego angielskim uniformie marynarskim, można było poznać dowódzcę korwety Wielkiéj Brytanii. Młody żeglarz ten był bardzo pięknych rysów twarzy, słusznego wzrostu, i równie łagodno-szlachetnéj, jak marsowéj postawy. Zpod ciemnych włosów, ocieniających skronie, ciągnęła się przez czoło aż ku policzkom, krwawa blizna, która wraz z połyskiem czarnego oka, nadawała mu coś imponującego, a nawet hardego.

»Pan nie jesteś kapitanem owego brygu,« — przemówił młody dowódzca z lekkim ukłonem, biorąc papiéry od pana Johna, którego nieco lękliwe wejrzenie zdawało się go zadziwiać.

„Nie, nie, *sir*, nie jestem, ale — jestem do usług pańskich!« — odpowiedział kupiec zmieszany. »Jestem pasażerem na owym brygu, którego kapitan jest chory. I bardzo chory. Dla tegożto mnie tu wysłał. Toż i sternik cokolwiek zasłabł.«

Dopiero teraz postrzegł kupiec, iż bez polecenia skłamał, i gwałtownie się przeto zająknął.

Dowódzca korwety przejrzał uważnie papiéry, zdało się jakby go wiersz po wierszu i słowo po słowie, zatrzymywało w czytaniu, i coś sobie przypominał; niekiedy zaś rzucił okiem na pana Johna, któremu się coraz bardziéj i bardziéj lękliwiéj robiło. Nareszcie zwinął młody wojownik spokojnie papiéry, i wpatrzył się surowo w biédnego posła.

„Odpłynęliście panowie 14go b. m. z Liberii?« zapytał dowódzca tonem ostrym

„Tak jest, *sir*, 14go, najniezawodniéj» — pojąknął pan John.

»A zatém widziałeś pan może przypadkiem tamecznego gubernatora, pułkownika Clay, który te papiéry podpisał?«

„Tak, tak jest, widziałem go, ale tylko na małą chwilkę Bo — bo — «

„Bo pułkownik Clay umarł tegoż samego dnia, gdy ja, płynąc z *Cap-Coast*, do Liberii przybyłem. Te papiéry są zfałszowane.«

Piorun z jasnego nieba, nie mógłby był gwałtowniéj kupca przerazić.

„Nie podobna, *sir*« — wyjęknął. — »Zdaje się — zdaje się — na każdy wypadek — że, że jakaś pomyłka, *sir*.«

»Zaraz ją sprawdzimy!« — odrzekł spokojnie młody żeglarz. Wyślę jednego z oficerów na pokład waszego okrętu. Pan będziesz tak grzecznym, zostać tymczasem na naszym, aż póki oficer nie wróci.«

»Zastanów się pan, co czynisz!«—rzekł, jak mógł, śmiało kupiec. „Narażasz się na wielką odpowiedzialność, pozwalając sobie przetrząsać okręt Zjednoczonych Stanów. Jestem od jego kapitana umocowany, założyć przeciw temu protestacyją. Zresztą, nie dopuści on nigdy, aby oficer angielski...«

»Mocnobym żałował, gdyby mię zmuszono użyć siły« — przerwał kapitan stanowczo. „Że papiéry te są zfałszowane, jest rzeczą pewną Gubernator, który je miał podpisać, już prawie dwa miesiące, jak umarł. Bandera amerykańska nie może być ochroną przy dowiedzionym fałszu; zdaje się owszem, iż ona sama jest fałszywą; i postąpiłbym przeciw mojéj powinności, gdybym nawet użyciem przemocy, choćby to jak bądź wypadło, nie starał się, rzecz tę wyświecić.«

»Ha, jeźli tak« — ozwał się pan Smith w największéj trwodze — »jeźli pan żadną miarą od swego postanowienia odstąpić nie chcesz, tedy mam od kapitana owego okrętu list do pana. Nazywasz się pan — Karol Rodgers?«

»Tak jest! — Ale cóż to ma znaczyć?« — zapytał młody żeglarz zdziwiony, sięgając po papiéry, których pan John z pugilaresu dobył.

Kapitan Rodgers szybko list rozpieczętował. Przebiegłszy go skwapliwém okiem, przestraszył się widocznie, lecz się zaraz znowu uspokoił, a po przeczytaniu, nie mówiąc ani słowa, wpatrzył się przez kilka chwil w pana Johna. Twarz młodego dowódzcy, zrazu mocno zaczerwieniona, teraz śmiertelną bladością się powlokła.

„Powiedz mi pan“ — ozwał się wreszcie drżącym głosem — »powiedz mi, czy Ema Vansittart, w istocie na owym okręcie się znajduje?«

»Gotów jestem przysięgą to stwierdzić; lecz to świadectwo najlepiéj pana o tém przekona, a oraz wytłumaczy mu, w jaki ona sposób tam się dostała« — odpowiedział kupiec, nabierając odwagi, głosem najszczérszéj prawdy.

„O, mój Boże! Wszechmocny Boże! — westchnął ciężko kapitan, czytając podane sobie świadectwo. „Nieszczęśliwa! Zginęłaś! I, jażto mam tobie śmierć zadać! A przecież — a przecież — o Boże w niebiesiech! — powinność moja tego wymaga!«

Karol Rodgers zdawał się tak być wzruszonym, iż pan John mniemał ujrzeć go już mdlejącego. Jednakowoż, nie trwało chwili, opamiętał się tak raźno, że zawołał ostro do stojącego w pobliżu oficera:

»Ów okręt wiezie Murzynów Każ pan puszkarzom zaraz udać się do armat, i wezwij bryg murzyński do poddania się.“

W oka mgnieniu werbel bębnów powołał osadę do armat.

»Poddajcie się! Precz z banderą!“ — zagadała tuba głosem bałuchowym.

Ale zanim jeszcze w bębny uderzono, już pan John wyciągnął białą chustkę z kieszeni, i powiał nią w powietrzu. Nie chciał on, ani przyjacioł, ani nieprzyjacioł sobie narazić.

„Nie podaje się! Mamyż dać ognia do niego?“ zapytał podkomendant.

„Nie!“ — odrzekł szybko kapitan. „Sprobujmy go zahaczyć.“

Właśnie miała się korweta angielska już do brygu przemytniczego zbliżyć, gdy ten w mgnieniu oka wszystkie rozwinąwszy żagle, zwrócił się, i dawszy z wszystkich dział ognia, jakby dziki ze stepów rumak, w dal pognał.

Master John o mało że się ze strachu nie przewrócił, gdy kule okrętu murzyńskiego, pomiędzy narządem żaglowym trzaskliwie załomotały, a drzazgi zgruchotanych rejów i masztów, na około się osypały. Dowódzca korwety wydał coprędzéj rozkaz, aby rozwinąć żagle, i w pogoń pójść za uciekającym. Ale kule brygu niewolniczego sprawiły tak wielką szkodę w jéj narządzie; iż nie mało czasu upłynęło, nim można było wykonać ten rozkaz, a zanim korweta angielska uciekający okręt niewolniczy ścigać zaczęła; już ten o wiele staj był naprzód.

Podczas gdy to na korwecie angielskiéj się działo, w tymże czasie na pokładzie okrętu niewolniczego, wcale co innego zaszło. Musimy tedy wrócić aż do téj chwili, kiedy pan John wsiadł do łodzi okrętu angielskiego. Zaledwie łódź odpłynęła, zwrócił się kapitan Devereux do Emy. Ta mniemała, iż ją zechce wyprawić do kajuty, lecz on wziął ją owszem za rękę, i mówiąc: „Mam pani coś powiedzieć“ — zaprowadził na tylny pokład.

Tam ozwał się do niej spokojnym, ale tak mocnym i lodowatym głosem, iż dziewica mimowolnie wzdrygnąć się musiała.

„Nadeszła wreszcie stanowcza chwila, w któréj muszę pani uczynić wyznanie, jakie chciałbym był z duszy na zawsze zamilczéć. Za kilka minut będziesz pani albo u celu swych najgorętszych życzeń, albo wraz ze mną, na dnie morza. Jedno i drugie, jak tyle rzeczy na świecie, zależy od przypadku; to jest: od skutku posłannictwa owego gapia, który tam w onéj łodzi odpływa. Abyś pani jednak wszystko wiedziała, chciéj posłuchać, co ci tu opowiem: Jako opuszczona, bez ojca i matki sierota, dostałem się w dzieciństwie mojém w dom niesłychanie bogatego lecz skąpego krewniaka. Tam nieustannie we mnie wmawiano, jakiém to szczęściem jest dla mnie, iż z głodu umrzéć nie muszę, jak wielką wdzięczność winien jestem za to szczęście mojemu wujowi, i że tylko pieniądze, i nic innego jak tyko pieniądze, nadają ludziom znaczenie, szacunek i wszelką pomyślność świata. Gdym jeszcze był małym chłopcem, wysłał mię mój opiekun do szkoły marynarki, niedługim czasem zostałem kadetem okrętowym, potém oficerem, wreszcie dowódzcą małego okrętu, który przy wyspach Molukkich przeciw korsarzom malajskim krążył. Skoro tylko najlichszéj płacy dostąpiłem, zostawił mię wuj bez wszelkiego dalszego wsparcia. Pisywał do mnie z napomnieniem: — „Że i on zaczął od niedostatku, a usilnością i rozsądkiem dorobił się majątku; powinienem więc pójść za jego przykładem.“ — Jakoż było to w istocie jedyną myślą moją, gdyż rychło przekonałem się rzeczywiście, iż mój opiekun miał słuszność, i że tylko pieniądze wartość człowieka w świecie stanowią. Niestety, przychodziło mi z wielką trudnością pójść za przykładem mojego wuja. Układałem różne plany; wszystkie chybiły. Jednakże gdym z kilką innymi kapitanami okrętowymi przez kilka miesięcy w Batawii bawił; zdało mi się szczęście wcale niespodzianym sposobem uśmiéchać. W Batawii grano bardzo wysoko. Działo się to najczęściéj w kole tamecznych urzędników i przejeżdżających oficerów. Grałem także, grałem wysoko, i prawie zawsze szczęśliwie. Wiadomo mi było, iż spółgracze moi, którym się nie szczęściło, w zemstę za poniesione straty, różne wieści o mnie rozsiéwali, o co jednak wcale nie dbałem. Szczęście wciąż mi sprzyjało, wygrywałem znaczne kwoty, zresztą było mi wszystko obojętne. Pewnego wieczora, gdy gra w najlepsze się toczyła, a ja bank trzymałem; jeden z graczów, z którym uprzednio już miałem sprzeczkę, posądził mię o nieporządek w grze, albo — cze-

muż nie mam wyznać otwarcie? — o grę fałszywą. Skutkiem tego było, iż go wyzwałem. Niegodziwiec nie stawił się, rozniesione o tém pogłoski nadały całéj sprawie większe znaczenie, niż miała w istocie; rozpoczęło się śledztwo. W ciągu tego oparło się wszystko na świadectwie jedynego człowieka. Był on oficerem, jak i ja, był jedynym z moich kolegów, obecnym grze, stał tuż przy mnie, nie grał, i wszystko widział. Na niego jako na świadka, powołali się moi oskarzyciele, jego słowo miało rozstrzygać. W jego ręku było moje uniewinnienie, w jego mocy moja zguba. Poszedłem do niego, mówiłem z nim, prosiłem go, błagałem! Ha, na Boga! Bądź co bądź widział, należało przecież mieć wzgląd na dobrą sławę naszego stanu, na los całego życia kolegi! On odpowiedział mi krótko: »iż pod słowem honoru jest zawezwanym wyznać prawdę, co już i bez wezwania, honor i powinność uczynić nakazują. Niémi musi się on dać powodować, i nie zachwieje się w tém przekonaniu, chociażby nawet o życie, bądź jego samego, bądź rodzonego brata, siostry albo kochanki chodziło. Następnego dnia wydał on świadectwo — przeciwko mnie. Zostałem skasowanym »

Blada zazwyczaj twarz mówiącego, spłonęła na chwilę lekkim rumieńcem. Wkrótce jednak oblokła ją dawna bladość, ugryzł się w wargę, i chwytając lewą ręką Emę za ramię, wyciągnął prawę ku angielskiéj korwecie, i ozwał się drżącym od stłumionej wściekłości głosem:

„Ten człowiek, który jedyném słowem mógł mię ocalić, a który mię zgubił, któregom ja ze złożonémi rękoma, na klęczkach błagał, a który ozięble ode mnie się odwrócił; ten człowiek, tam na owym statku wojennym dowodzi, i zwie się Karol Rodgers."

Ostatnie słowa Devereux'go przeraziły pannę Vansittart tak mocno, iż nie była w stanie słowa w odpowiedź wyrzec. Teraz dopiéro wyjaśniło się jéj, dla czego Devereux w tak uprzedzający sposób ofiarował się ją przewieźć do Kuby. Ujrzała się być zakładniczką w ręku śmiertelnego wroga swego narzeczonego. Ogarnęły ją okropne przeczucia nieszczęsnych następstw, jakie prawdopodobnie ztąd się rozwinąć mogły. Tymczasem, gdy Ema ciągle w osłupieniu milczała, Devereux odzyskał w części spokojność.

„Nie miéj mię pani ani za nieludzką potworę, ani za spaniałomyślnego bohatéra„ — mówił zimno daléj. — „Nie pragnę ja ani mścić się na pani za to, co mi ten człowiek wyrządził, ani mi też przez myśl nie przechodzi, chcieć mu złe dobrém odpłacić. Zamierzam jedynie mój interes, jego własnym interesem, jakby tarczą zasłonić, a zarazem przekonać się, czy też jego gorliwość o honor i powinność, wytrzyma próbę téj okropnéj chwili. Przesłałem mu fałszywe papiéry. Jeżli się da zwieść niémi, popłyniesz pani ze mną do Hawanny, wysadzę cię tam na ląd, i będziesz mogła powiedzieć swemu narzeczonemu, z kim tę podróż odbyłaś. Gdyby zaś powziął podejrzenie, natenczas pan Smith doręczy mu list odemnie, w którym mu oświadczam, iż jesteś na moim okręcie, że żadna moc na świecie wydrzéć mi cię nie zdoła, i że tylko wtedy na wolność cię puszczę, jeżli mię na piśmie słowem honoru upewni, iż mi bezpiecznie w dalszą podróż płynąć dozwoli. W razie zaś zaczepienia mię, zostaniesz pani przy moim boku na pokładzie, narażona na jego kule, a gdyby chciał nasz okręt zahaczyć, wysadzę się w powietrze. W taki sposób los twój pani, jak widzisz, spoczywa w ręku twego narzeczonego, i proszę panią, pozostać tu na miejscu, aż pokąd zupełne rozstrzygnienie nie nastąpi »

To rzekłszy, odwrócił się ozięble od Emy, która z przerażenia zaledwie pojąć się mogła. Podczas gdy kapitan jednę część czeladzi, bez dawania głośnego sygnału, do armat wysłał, reszta majtków pospieszyła na stanowiska przy żaglach, aby je na piérwszy rozkaz w ruch wprawić. W téjże chwili ozwała się tuba z korwety i zażądała poddania się.

„Czy wszyscy na stanowiskach?" zapytał Deverenx. — „Wszyscy!" — odpowiedziano rażno.

Tu dało się słyszeć powtórne wezwanie.

»Ognia!" — zakomenderował Devereux. W mgnieniu oka, jasno-płomienisty smug rozwinął się wzdłuż całego boku okrętu, a ładunek kilkunastu kul działowych zawarczał razem ponad grające wały wody.

»Rozwinąć wszystkie żagle, od wiérzchu aż do dołu, chociażby maszty za pokład się wygięły!" — zawołał kapitan; a na to hasło bryg poleciał piorunem, aż się za nim zapieniło!

Więcéj godziny trwała już gonitwa, a korweta angielska nie zmogła dobiedz w bliż strzału działowego ku okrętowi niewolniczemu; bo chociaż daleko lotniejszą była, wszelako bryg niewolniczy rozwinął wszystkie żagle i nie zważając na niebezpieczeństwo stracenia masztów, wytężał wszystkie sił sposoby najzapamiętaléj; przezco jego grube reje, gięły się jak pręty. Mimo to wszystko, przecież korweta nadpływała coraz bliżéj i bliżéj.

»Każ Sir, rozpocząć ogień!" — rzekł dowódzca statku wojennego do podkomendanta; a mimo wszelkie usiłowanie zachowania powierzchownéj spokojności, przecież bolesne drzenie głosu objawiało dostatecznie, co mu się w duszy działo.

Ponieważ Karol Rodgers w ciągu ścigania, udzielił oficerom swoim treści listu Devereux'go, przeto nie mogło to wewnętrzne wzruszenie jego, ujść ich uwagi, a spojrzenia ich wyrażały najserdeczniejsze ubolewanie.

Za każdym strzałem, który z korwety w okręt

niewolniczy uderzył, i natychmiast z tegoż był odpowiedziany; leciały szmaty płótna z narządu żaglowego. Z obudwóch statków dawano ognia umyślnie górą; z korwety aby bryg murzyński w ucieczce, z tego zaś, aby korwetę w pogoni, wstrzymać.

Im się bardziéj ku sobie zbliżano, tém gęściéj biły strzały; a często, gdy znowu działa z pokładu korwety zagrzmiały, i tuman dymu między obudwoma okrętami zaległ; brał narzeczony Emy prawie mimowolnie pana Smitha za rękę, i mówił doń boleśnie, lecz zcicha: „Proszę pana, czy widzisz jeszcze białą suknię Emy na pokładzie? — Ja sam nic nie widzę! Mgła zasłania mi oczy!"

Wreszcie przyszło do tego, że już miała korweta doścignąć bryg niewolniczy.

„Wyprzedźmyż go, zajdźmy mu z czoła, i ztamtąd zahaczmy go! Niech się to już raz skończy!" — rzekł Rodgers do swego podkomendanta „W czasie omijania, każ pan kartaczami dać razem ognia z dział wszystkich w pokład!"

We wzroku i głosie młodego dowódzcy, gdy mu te słowa z ust wyszły, było coś okropnie dzikiego, rozpaczającego. Wzruszenie wewnętrzne zachwiało nim tak mocno, iż musiał chwycić się masztu, aby nie upadł.

W chwili mijania się, skrzyżowały się dwa strumienie ognia, wyzionione z dwóch boków statków; ciężkie żelazne kule zahuczały trzaskliwie ponad pokład, a boleśny krzyk i jęk konających, ozwał się okropnie; ciemna chmura dymu zaległa grubo oba okręty, jakby jedna czarna płachta razem je przykryła.

Od samego zaczęcia gonitwy, wydawał Devereux rozkazy spokojnie z największą przytomnością. Skoro jaki ogłoszony rozkaz spełniono, stawał zaraz o kilka kroków od Emy, stojącéj prawie bez życia przy sterze na tylnym pokładzie, i przyłożywszy dalowid do oka, patrzył ostro w korwetę. Tak trwało aż do chwili, kiedy statek wojenny zabierał się wyprzedzić bryg murzyński. Ema pojęła całą okropność i stanowczość téj chwili.

„*Sir*" — rzekła uroczyście do kapitana — „proszę mi pozwolić kilka chwil do pojednania się z Bogiem. Pomnij pan, że oboje wkrótce przed tym strasznym sędzią staniemy."

Devereux zdał się być wzruszonym tą przemową.

„Odejdź pani do kajuty" — ozwał się po krótkiém milczeniu, łagodnym głosem, wskazując na schody.

Ledwieco Ema tam zeszła, a już obadwa okręty wśród wzajemnego ognia, przybliżyły się ku sobie, i wszelkie przygotowania do ręcznego boju czynić zaczęto. Jak rozjuszony tygrys rzucił się Devereux ze swymi ludźmi ku przedniemu pokładowi. Ogień karabinowy sypał gęsty grad kul z jednego statku na drugi. Osada korwety wytężała wszystkie siły, aby się wedrzéć na pokład brygu murzyńskiego.

Długo tak zacięcie wrzała nierozstrzygnięta walka śród gęstego dymu z ręcznéj broni. Rodgers i Devereux stali na czele swych oddziałów. Osada „Orła" wdarła się była już kilkakrotnie na okręt niewolniczy, lecz zawsze ją wyparto; aż wreszcie nieustraszoną przemocą usadowiła się na przednim pokładzie i dopiéro teraz wszczęła się rzeź zajadła, bo była ścieśniona na wązkiéj przestrzeni między naczelnym masztem a galijonem. Cały plac okrył się rannymi i umierającymi, a w krótce już tylko ostrą bronią na trupach walczono. Aż potąd chwiała się szala boju prawie zarównem szczęściem dla obojéj strony. Czeladź okrętu murzyńskiego biła się z zapamiętałém męztwem okropnéj rozpaczy. Devereux przewyższył odwagą wszystkich swych towarzyszy. Kilku przeciwników poległo już z jego ręki. Wtém dały się słyszéć dwa głośne strzały w pośrodku brygu niewolniczego, i razem ozwał się okropny ryk, trzask i gruchot. Murzyni wyłamali drzwi ciemnicy, i jakich dwudziestu wpadło z okropnym wrzaskiem po schodach na pokład. Trzymający tam straż majtkowie przyjęli ich wprawdzie dwoma strzałami z obudwóch małych działek przy schodach, wszakże Murzyni rychło ich przemogli i zamordowali. Poczém z rozerwanémi kajdanami w ręku, rzucili się z tyłu na czeladź okrętową. Jużto za pomocą łańcuchów, już za pomocą broni leżącéj około poległych, powalali wściekle wszystko, co się im nawinęło. Mulat Placido był jedną z piérwszych ofiar téj krwawéj zemsty.

Aż dotąd walczył Devereux spokojnie. Widząc jednakże, iż część jego siły zbrojnéj trupem poległa, a reszta, broń składać jęła; dobył pistoletu zza pasa, odrzucił szablę od siebie, i pochwycił lont gorejący, który tuż przy dziale leżał. Już środkiem walczących utorował sobie drogę ku schodom, i miał zbiedz do komory prochowéj, aby okręt w powietrze wysadzić, gdy wtém jakaś olbrzymia ręka za kark go pochwyciła. Byłto Tarki, który z całą wściekłością Afrykanina nań się rzucił. Teraz rozpoczęła się walka, podobna do walki między władzcą lasów afrykańskich, słoniem, a jego śmiertelnym nieprzyjacielem, panterą Devereux chciał Murzynowi pistolet do piersi przyłożyć, a Murzyn chciał go o ziemię powalić. Tak spleceni obadwaj z sobą, runęli razem na ziemię. W téj chwili wybiegła na pokład Mahena. Widząc męża swego w walce z kapitanem, rzuciła się z wrzaskiem na spólnego przeciwnika, porwała go za włosy, wydarła z pochwy sztylet, który kapitan nosił zawsze za pasem, i wbiła mu go aż po rękojeść w gardło. Jak szalony zerwał się w téjże chwili Tarki, pochwycił kapitana w pół, podniósł go w górę, i wściekle nim potrząsłszy, rzucił martwego w morze. Je-

szcze raz wyplusnął tułów zpod wody na wierzch, a potém zatonął na wieki.

Tymczasem uciszyła się walka. Większa część osady niewolniczego brygu padła trupem, a reszta rzuciła broń, i schroniła się na pokład zwycięzców, aby nie być rozdartymi w kawałki od rozjuszonych Murzynów. Rodgers i oficerowie jego, zaledwie byli w stanie położyć koniec rzezi. Tylko z wielką trudnością ocalono ostatki czeladzi okrętu murzyńskiego, wysadziwszy je na pokład korwety. Za pośrednictwem Maheny, i za obietnicą pozostawienia jéj małżonka wolno na pokładzie, przywiedziono Murzynów wreszcie do tego, iż się do swojéj ciemnicy wrócili, i tam spokojnie zachować się przyrzekli.

Podczas gdy trupy poległych w morze rzucano, a rannych na korwetę zanoszono; spoglądał Rodgers w największéj trwodze po pokładzie. Właśnie miał zejść po schodach do kajuty, gdy Ema, blada i zmieszana, naprzeciw niemu wyszła. Z okrzykiem niespodzianéj radości padła biédna bez zmysłów w jego objęcie....

Dnia następnego płynął „Orzeł" wraz z zdobytym okrętem, przy pomyślnym wietrze do Jamaiki. W Kingstonie miano oddać zdobycz rządowi, i pozostałą czeladź okrętu niewolniczego pod sąd stawić. Zdjęto Murzynom kajdany, i pozwolono, aby zawsze trzecia część na pokładzie zostawała. Zarazem kazano im powiedzieć, iż będą mieli w Jamaice do wyboru, albo jako wolni ludzie wstąpić do pułku murzyńskiego, albo jako osadnicy, na afrykańskiém wybrzeżu w *Cap-Coast* pozostać, czém się też jak dzieci cieszyli, i wkrótce wszystkie poniesione cierpienia zapomnieli. Toż i Mahena rozmawiała tak wesoło z Emą, była tak uradowaną, jak w piérwszéj chwili obaczenia się z mężem, i ani słowem o Devereux'm nie wspominała Ta spokojność i wesołość przy tak świeżéj pamięci minionych okropności, miały dla Emy coś przerażającego.

Gdy kapitan Rodgers i jego narzeczona z całéj duszy szczęściem niespodziewanego znalezienia się nacieszyli, gdy Ema kochankowi swoje przygody od czasu wyjazdu z przylądku „Dobréj nadziei" opowiedziała; przyszła mowa także na Devereux'go. Rodgers opisywał go jako dzielnego oficera morskiego, człowieka rzadkiéj odwagi, który jednakże mimo te przymioty, nie posiadał ani szacunku, ani przyjaźni swoich kolegów, o ile że reszta rysów jego charakteru, wzmiankowanym powyżéj zaletom, nie odpowiadała. Główną cechą tego charakteru mienił kochanek Emy nieograniczoną chciwość, która dla osiągnienia jakiejkolwiek korzyści, żadnego nie wzdrygała się środka. Bywszy już dwukrotnie do śledztwa pociąganym, lecz z braku dowodów uwolnionym; oddał się w ciągu swego pobytu w Batawii namiętności gry, a mimo woli był Karol Rodgers raz świadkiem, jak się dopuścił fałszerstwa. Niepodobna było złożyć świadectwo na jego korzyść, ponieważ należało takowe ustnie i pisemnie słowem honoru stwierdzić, a zatém stać się jego spółwinowajcą. Widząc jednakże, iż to świadectwo kasacyję towarzysza broni za sobą pociągnie, złożył je Rodgers z największém ubolewaniem.

Przy niezmiennéj pogodzie i pomyślnym wietrze trwała podróż do Jamaiki tylko dni kilka. W krótkim czasie odstawiono zwierzchności więźniów i Murzynów; a że korweta znacznie w boju uszkodzoną była, przeto musiał Rodgers w celu naprawienia jéj, przez dłuższy czas w Kingstonie zabawić. Oddawna już pozwoleniem ożenienia się z Emą, zaopatrzony, korzystał z tego czasu, wziął ślub z kochanką, i został najszczęśliwszym z małżonków. Uradowany pan John, był na weselu, zaproszonym, i w podarek ślubny, złożył pannie młodéj rzadki w tamtych okolicach bukiet z róż, między którémi był także piękny pierścionek brylantowy, przy uroczystych okolicznościach przezeń noszony. Byłoto dla niego nadzwyczajném uszczęśliwieniem, gdy Ema przy uczcie, którą kapitan Rodgers w dzień po ślubie, na pokładzie korwety, swoim przyjaciołom wyprawił, w te dary ustrojona wystąpiła.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 3ci i zawiéra: 1) Michała Janowskiego (rządzcy państwa Chorostkowa) Uwagi o chorobie ziemniaków, zarazą zgniłą zwanéj. 2) Wincentego Pola rzut oka na Galicyję (z kartą téjże). (Ciąg dalszy). 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 4) Uwiadomienie redakcyi. — Dodatek nadzwyczajny zawiéra: 5) Spis pp. prenumeratorów podług porządku, którym się w poczet wpisać raczyli. 6) O lnie 7) Z jakich powodów należy dbać o lasy. 8) Gléd w Szkocyi. 9) Wynalazki z powodu niebezpieczeństwa ogniowego. 10) Uwiadomienie.

Z Warszawy: *Biblijoteka warszawska* za miesiąc styczeń zawiéra: 1) Wybór i koronacyja papieżów, a w szczególności Piusa IX, przez Edw. hr. Łubieńskiego. 2) O kongresie pokoju, odbytym w Frankforcie nad Menem w końcu września 1846 r., przez Fryd. hr. Skarbka. 3) Łza w niebie, Fantazyja przez Józefa Ign. Kraszewskiego. 4) Wyciąg z pamiętników pułkownika Piotra Bazylego Wierzbickiego, — ułożył i wydał Leon Potocki. 5) Żywoty malarzy polskich, przez Edw. barona Rastawieckiego (ciąg dalszy). 6) Kronika literacka. 7) Rozmaitości. 8) Kronika zagraniczna - biblijograficzna. Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc listopad 1846.

Operacyje chirurgiczne bez żadnego bolu. Pismo angielskie *Medical Review* donosi o nowym, w północnéj Ameryce odkrytym sposobie odbywania

wszelkich operacyj chirurgicznych bez żadnego bolu. Oto pacyjentowi daje się przez krótki czas oddéchać *eterem siarczanym* (za pomocą osobnego aparatu), w skutek czego wpada on w zupełną nieczułość, a wtedy odbywa się na nim operacyję. Dnia 2. stycznia r. b. doświadczano téj metody w szpitalu w Bristol (w Anglii), na młodym mężczyźnie, któremu trzeba było amputować nogę powyżéj kolana. Lekarz Lansdown, dał mu eteru siarczanego do oddéchania: po półtoréj minuty wpadł pacyjent w zupełną nieczułość, a lekarz przystąpił do operacyi, która trwała jednę minutę: na rysach twarzy pacyjenta nie było znać najmniejszego bolu. Po 15 minutach ocknął się i oświadczył, iż nie doznawał żadnego bolu, bądź przy przecinaniu skóry i ciała, bądź przy piłowaniu kości, bądź też przy podwiązywaniu naczyń krwistych, chociaż operator niektóre z tych naczyń, od nerwów odłączać musiał. Po operacyi dostał chory lepszego snu, aniżeli dziesięć nocy przedtém, a stan jego zdrowia polepsza się od dnia do dnia.

Święto Bożego narodzenia bywa w Anglii bardzo uroczyście obchodzone. U dworu w Windsor, odbywa się wielki obiad, który i tym razem w dziennikach angielskich szeroko jest opisany. Główném daniem był olbrzymi *rostbeaf* z pięcioletniego, umyślnie w tym celu na jednym z folwarków księcia Alberta tuczonego wołu szkockiego, ważący 236 funtów, dłużéj niż 12 godzin przyprawiany, i śród całego orszaku pieczonych indyków, kapłonów, pulard i t. d. na zimno zastawiony. Po skończonym obiedzie, udała się królowa z towarzystwem do innéj sali, gdzie było ustawionych kilka drzew — jako tego święta znamię — podobnie do śniegu i szronu, cukrem ubielonych, jaśniejących mnóstwem światełek, i upstrzonych pozawieszanémi u gałązek cukierkami w zgrabnych koszykach, które królowa obecnym w upominek rozdawała.— Starym angielskim zwyczajem przypuszczają majętni posiadacze ziemscy ile możności ubogich do spółudziału w uroczystościach tego święta, rozdając jużto gotowe potrawy, rostbify, plumpudyngi, jużto płótna, sukna, fianele i gotowe suknie pomiędzy swoich włościan. Podobnież wszystkie parafije zaopatrują ubogich znamienitémi darami, każdy zamożniejszy mieszczanin wspiéra jaką biédną rodzinę, która bez téj niespodzianéj pomocy, nie byłaby w stanie uczestniczyć w powszechnéj wesołości; toż i o szkółkach ubogich wyrobniczych dzieci nie zapominają, a nawet więźniom bywa uczta sprawiana.

Bieg życia ludzkiego. Pomiędzy utworami Torwaldsena, które w jego muzeum w Kopenhadze częścią już są ustawione, częścią dopiéro ustawione być mają, jest także powzdłużna płaskorzeźba, przedstawiająca »bieg życia ludzkiego.« Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczyna, podnoszą ciekawie zasłonę znad kosza, zkąd wygląda Amor, którego dziewczyna z dziecinną nieświadomością za skrzydła uchwyciła.— Po drugiéj stronie kosza siedzi Psycha z dorosłą dziewicą, i trzyma w górę Amora, wyciągającego ręce ku dziewicy, która go pochlebnie do siebie na łono zaprasza. Życzenia jéj ziszczają się, a nieco daléj stoi narzeczona, która swego Amora namiętnie całuje. Za nią w dali widać parę małżeńską, zobojętniałą już dla miłości; małżonek, znużony pracą, spoczywa we śnie, a jego Amor, siedzący mu nad głową, bynajmniéj go nie troszczy; żona zdaje się wracać z targu, i trzyma swego Amora nito koguta za skrzydła, tak, że to niebożę po jéj fartuszku nóżkami trzepie. Wreszcie siedzi starzec, wyciągający ramiona z tęsknotą ku bożkowi miłości, lecz ten odlatując szyderczą minkę mu stroi. — Torwaldsen pracował podług natury. Młody Rzymianin, który mu za model do Merkurego służył, a znużony, chciał nieco spocząć, usiadł na postamencie, spuścił nogę niedbale na dół, drugą wciągnął pod siebie, i ująwszy ją lewą ręką pod kolanem, oparł się prawą o laskę. Torwaldsen prosił go, aby pozostał przez chwilę w téj postawie, a tymczasem odwzorował podług niego swój sławny posążek »Pastuszka na skale.«

Miłość jest galwanizmem. Usta służą za druty komunikacyjne; połączenie dwóch serc tworzy aparat galwaniczny, którym najpodlejszą rzecz pozłocić można. Żeńskie serce bywa zazwyczaj biernym, męzkie dodatnim biegunem; zetknięcie się dwóch serc biernych czyni połączenie się niepodobném; jako też i dwa dodatnie bez skutku się ztykają. Przyjaźń jest »mnożnikiem«, króry prąd uczuć wzmacnia i utrwala, gdyż wtedy »jedwab« wzajemnego ukształcenia, spleciony z metalowym drutem czułości, zapewnia galwanizmowi miłości, ciągłe bez przerwy działanie. Jeśli niezgoda komunikacyjną spojnię żywiołów sercowych zerwie, natenczas i prąd galwaniczny ustaje. Podobnie jak woda za pomocą galwanizmu w wodoród i kwasoród się rozkłada, tak miłość rozkłada łzę w boleść i radość; radość jest kwasorodem który wszelkie życie pomnaża i wzmaga; boleść jest wodorodem dusz sentymentalnych. Dotknięcie się łańcucha galwanicznego, sprawia silne uderzenie; to też i miłość zadaje nam niejeden cios dotkliwy, który témbardziéj boli, im bliżéj czyjeś serce z naszém jest połączone. Skoro namiętności serce raz z-oksydują, ustaje wpływ jego na inne serca, a galwaniczny prąd miłości — przerwany.

Wielka gadzina morska. Dr. Albert Koch odkrył roku zeszłego skamieniały potwór morski olbrzymiej wielkości, nazwany przezeń, na cześć sławnego dra. Hallan w Filadelfii, *Hydrarchos Hallani*. Jestto ogromna gadzina morska, mająca 114 angielskich stóp długości, a 10—12 łokci objętości. Przedpotopowy ten *hydrarchos*, zdaje się być największym płazem, jaki dotąd odkryto, i sprawdza poniekąd starodawne podania o wielkich gadach morskich. Znalazł pan Koch ten potwór w Zjednoczonych Stanach północnéj Ameryki, w Alabama, na małéj łące, którę od niedawnego czasu uprawiać zaczęto. Przy zoraniu gruntu, wydobyto naprzód kilka skamieniałych kości, których tameczni mieszkańce do różnych potrzeb budowlanych używali. Po niejakim czasie znalazł dr. Koch w pobliżu rzéki Sintabugue cały olbrzymi kościotrup, który prawie zupełnie zachowany, leżał w formacyi kamienia wapiennego, w półkole wygięty, głową na dół przechylony. Z zębów wywodzi p. Koch pokrewieństwo tego potworu z rodzajem gadów, jakoż są one jak u gadzin w tył podane, tak, iż zdobycz łatwo w paszczę się przemknie, lecz z trudnością nazad wydobyć się może. Sądząc po warstwach ziemi, w których szczątki tego źwiérzęcia się znajdują, przebywał *hydrarchos* najczęściéj w szerokich rzekach i zatokach, gdzie, jakto skład głowy, karku, a osobliwie narzędzi oddechowych okazuje, z sterczącym ponad wodą karkiem pływał. Oczy miały 8 cali średnicy; kości pacierzowe 15 cali długości a 24—30 grubości; długi, gruby ogon służył za wiosło. Z pokrywających ten kościotrup warstw ziemi była jedna pochodzenia wulkanicznego, a 3 namułu morskiego; i można przypuścić, iż nagły wybuch ogromnego podmorskiego wulkanu stał się przyczyną śmierci tego potworu. Dalsze 3 warstwy osiadły zapewne w trzech różnych geologicznych epokach za-

lewów oceanu. Przypuściwszy, iż te 3 epoki, jakto przy opisie tegoż potworu w jednym z uczonych pism angielskich czytamy, są astronomicznego początku, i polegają na zmianie położenia osi ziemskiéj względem drogi ekliptyki słonecznéj, i na wpływie spiralnego ruchu biegunów magnetycznych na słońce; okazuje się z obliczeń astronomicznych, iż nie mniéj jak 2 mil. 303.000 lat do zupełnego obrotu osi ziemskiéj, i do uleżenia się dwóch warstw oceańskich potrzeba; zaczém musiał przynajmniéj przeciąg 3.456.000 lat upłynąć, zanim owe 3 oceańskie warstwy na kościotrupie naszego *hydrarcha* osiąść mogły. Owszem, przyjmują nadto czwartę podobną epokę do utworzenia się warstwy kamienia wapiennego, w którym *hydrarchos* był zasklepiony, a tak spoczywał on razem przez 4.464.000 lat w swoim kamiennym grobie.

Nieco do statystyki Paryża. Stolica Francyi liczy podług najnowszego sprawozdania rządowego 912.000 dusz, w 30.000 domach. Tylko połowa ludności jest rodem z Paryża. Co roku przychodzi na świat 30.000 dzieci, między któremi 10.000 nieprawego łoża. Z rozmaitych gałęzi sztuk pięknych żyje 125.700 ludzi, z handlu 70.000, z rzemiosł 338.000, z płacy rządowéj 173.800, z żołdu wojskowego 78.000. Adwokatów i notaryjuszów jest 1480, urzędników ministeryjalnych 3170, lekarzy 1423, kupców korzennych 2500, piekarzy 800, rzeźników 400, właścicieli kawiarń 800, traktyjerników 900, gospodników 800, właścicieli szynków wina 2300, fijakrów 10.000, sług 50.000. — Gdy ten olbrzymi polip się nakarmił, tedy 100 wielkich publicznych wodotrysków, 1600 mniejszych ulicznych, a 2500 prywatnych studzień, dostarczają mu codziennie 107 milijonów litrów wody. Komunikacyja stolicy z przyległą okolicą zatrudnia 20—25.000 łodzi, i ogromną ilość wozów, których dokładnéj liczby wcale oznaczyć nie można. Do wewnętrznéj komunikacyi między różnémi częściami miasta służy 300.000 koni i 60.000 wszelakich powozów, jakoto: 6000 ekwipażów, 20.000 kabryjoletów, fijakrów, omnibusów i t. d., i przeszło 35.000 wozów i wózków. Wywozi się co roku towarów za 120 milijonów franków. Dochód wszystkich 25u teatrów stolicy czyni rocznie 7 milijonów frank.

Sztuczne obłoki. Niedawno zdarzyło się w Berlinie osobliwsze zjawisko przyrody. W jednym z hotelów »pod lipami« — jak tam pewną część miasta zowią — są w cieplarni ogrodowéj dwa śklanne szczelnie zamknięte parniki, które codziennie nadzwyczajnie wielką ilością wody polewano. Ponieważ dość cienka warstwa ziemi w parnikach, żadną miarą wszelkiéj wody w siebie wciągnąć nie mogła; przeto utworzyły się wewnątrz parników istotne obłoki. Właścicielowi przyszło na myśl przedsięwziąć niektóre doświadczenia fizyczne za pomocą rozgrzewania i chłodzenia parników. Otoż rozgrzanie zamkniętego wewnątrz powietrza, sprawiało zawsze małą burzę, po oziębieniu zaś onego, zaczął we środku drobny śnieg padać.

Szlachetni zbrodniarze. Uczony francuzki, Appert, ogłosił niedawno dzieło o więzieniach, w którém następny przykład dziwnéj serca ludzkiego sprzeczności opowiada: Drouillet, jeden z więźniów galarowych w Tulonie, był zdolen zarówno największych zbrodni, jak i najszlachetniejszych czynów. Miał on pomiędzy swoimi więziennymi towarzyszami przyjaciela, który leżąc w lazarecie na łożu śmiertelném, rzekł do niego: »Wiész, iż mam tu w mieście syna, którego się matka wyrzekła; przyrzeknij mi, że mu będziesz drugim ojcem, i w innych niż nasze, zasadach go wychowasz, a zejdę spokojnie z tego świata.«— »Dziękuję ci, mój przyjacielu« — odpowiedział Drouillet — »że mi nastręczasz sposobność wynagrodzić dobrym uczynkiem występki życia mojego; przysięgam ci dopełnić ostatniéj woli twojéj.«— Chory umarł niebawem, a Drouillet stał się odtąd innym człowiekiem. Zajął się gorliwie powierzonym sobie wychowankiem, a gdy oszczędzone z przewyżki wyznaczonéj więziennéj pracy pieniądze na utrzymanie dziecka nie wystarczyły, ujmował sobie Drouillet wszelkich potrzeb, a nawet sprzedawał małą porcyję wina, jaką więźnie galarowi otrzymują. Ponieważ i to jeszcze niedostateczném się okazało, przeto postanowił użyć swych własnych wiadomości do ukształcenia syna przybranego, i prosił o pozwolenie wzięcia go do siebie do więzienia. Pozwolono mu to, i jakkolwiek czytelnicy nasi niezupełnie może temu wiarę dać zechcą, przecież w całym tameczuym tłumie złoczyńców, nie był ani jeden, któregoby ten szlachetny uczynek nie wzruszył, i któryby się był wzbraniał, przyłożyć się do wychowania sieroty. *Bagno*, mieszkanie wyrzutków społeczeństwa, gdzie tyle krwią ludzką skalanych rąk się znajduje, a złodziejstwo za najniewinniejszy występek jest poczytane; stało się dla chłopczyny domem wychowawczym, w którym ani jednego złego przykładu mu nie dano. Po upływie lat kilku został wychowanek galarowy po odbyciu chlubnego egzaminu kadetem przy marynarce mianowany, i zajmuje teraz zaszczytną posadę w francuzkiéj służbie morskiéj.— Ludwik Filip, dowiedziawszy się o tém, ułaskawił Drouillet'a, który do Paryża powrócił, lecz jednego razu ozwał się do Apperta: »Odkąd nié mam już przy sobie mojego wychowanka, znowuż złe myśli mię nagabują, i wątpię, abym był w stanie wytrwać na drodze uczciwości.« — Jakoż uwikłał się wkrótce w nową ciężką sprawę kryminalną, i został powtórnie na 20 lat więzienia na galarach skazanym. Na szczęście zachorował wkrótce po skazaniu, i umarł.

Jestto fatalnie— gdy kto w przedchwili ważnego przedsięwzięcia, chcąc sobie kilką kieliszkami dodać odwagi, postrzeże, iż ma już zawiele w czubku; — gdy kogoś w towarzystwie ciągle coś w nosie łechce; — gdy ktoś w obcéj gospodzie wprzód się dobrze naje i napije, a potém postrzeże, iż niéma przy sobie pieniędzy; — gdy ktoś w towarzystwie śmieszną opowiada anegdotę, a nikt się nie śmieje; — gdy ktoś w teatrze sam jeden *bravo* klaśnie lub krzyknie; — gdy komuś coś bardzo głupiém być się zdaje, a przy bliższém roztrząśnieniu okaże się, iż on sam to głupstwo popełnił; — gdy ktoś w towarzystwie recenzyję nieznajomego krytyka jako niedorzeczną wyśmieje, a potém się dowie, iż tenże krytyk, jest obecnym; — gdy komuś mucha właśnie wtedy w wino wpadnie, kiedy on już wniósł zdrowie gospodyni domu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.